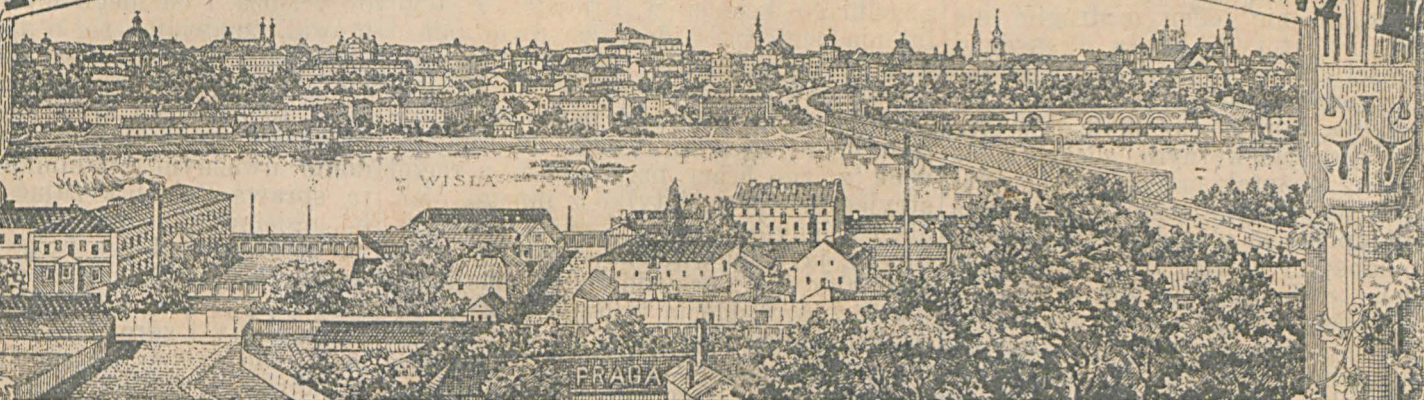


# GAZETA ŚWIĄTECZNA

WARSZAWA



Wychodzi w WARSZAWIE na każdą NIEDZIELĘ

## Cena Gazety Świątecznej:

bez przesyłania:		z przesyłaniem:	
Na cały rok	2 ruble	Na rok cały	3 ruble
„ pół roku	1 rubel	„ pół roku	1 r. i 50 k.
„ ćwierć roku	pół rubla	„ ćwierć roku	75 k.

Předpłatę na Gazetę Świąteczną wysłać należy do **KONRADA PRÓSZYŃSKIEGO**, jej pisarza, redaktora i wydawcy, w Warszawie, Plac Tłuch Kuryży (gdzie kościół Św. Aleksandra), 8.

Gazeta pojedynczo kosztuje 5 k., a z przesyłką 7 k.

Za ogłoszenia od drobnego wiersza lub jego miejsca: na stronie ósmej po 50 k.; na str. dalszych po 25 k. Małe ogłoszenia stałych czytelników darmo.

Utwory wykończane w Gazecie Ś. są własnością redakcji, więc tylko za jej przyzwoleniem przedrukowywane być mogą. Rękopismów nie zwraca się.

## Idzie do wojny na Wołyniu.

### Niezwykłe rzeczy.

Zbliżamy się do jednego z najbardziej rzadkich i niezwykłych w dawnych dziejach ludzkości zjawisk. Zarazem dwójako jest ono niezwykle i rzadkie; a z powodu tej podwójnej niezwykłości jest bodaj nietylko rzadkie, ale jedyne w świecie. Zjawiskiem tém są wypadki, do których opisania przystępuję.

Bohaterem ich prawdziwym, to jest głównym w nich człowiekiem i nadzwyczajnym działaczem, którego czyny podziwiano i wysławiano w świecie, tym bohaterem jest nasz polski król, Bolesław Pierwszy, Wielkim nazwany. Ze czyny jego były niezwykle, że były bohaterstwem, pozostał na wieki niezwykły też dowód.

Od tych to wypadków, od czasu, kiedy się one wydarzyły, dano Bolesławowi przydomek, jakby drugie imię, które później tak się z nim, z pamięcią o nim zrosło, że tym przydomkiem bardzo często go nazywają pomijając imię właściwe, główne. Przydomkiem tym jest Chrobry. Po tych wypadkach zaczęto go zwać Bolesławem Chrobrym.

Co znaczy Chrobry? Polakowi nie łatwo to nawet zrozumieć, bo w mowie polskiej słowa takiego niema i nigdy nie było. Jedyne tylko jako przydomku Bolesława Wielkiego Polacy tego słowa używają, zwykle nie pojmując ściśle, co ono znaczy. Nikogo też więcej ojcowie i bracia nasi nigdy tak nie przezywali. Bo też i nie oni, nie Polacy taki przydomek dali Bolesławowi. Przewalili go tak nie jego podwładni, ani przyjaciele, ani podlecby.

Zaczął go tak nazywać naród podwładny tym, z którymi on wojował, i których zwyciężał, czyli tym, którzy byli jego wrogami, nieprzyjaciółmi. Ich to słowo, z ich mowy. Wymawiali je oni „chrobry“, i tym przydomkiem zaczęli Bolesława oznaczać.

A nasi dziadowie, przyjąwszy dopiero później od nich ten przydomek króla Bolesława, przekształcili go starodawnym

obyczajem na „chrobry“, tak samo jak do dziś dnia jeszcze bracia nasi w wielu okolicach kraju zamiast mówić „pan“, mówią zwykle „pon“, zamieniając głos a na o.

Jeśli przydomek jaki czyli przezwisko nadaje komu człek obojętny, a cóż dopiero wróg, nieprzyjaciel, to zwykle taki, żeby wypominać albo jakieś kalestwo, brak czegoś, wadę, lub śmieszność rzucającą się ludziom w oczy, albo dającą się im we znaki. Takimi przydomkami są naprzykład: „Kuska“, „Krótki“, „Rudy“, „Łysy“, „Kulawanie“, „Sakwa“, „Sknera“, „Długoreki“, „Oś przy“ i t. p. A dowiedzmy się, co znaczy przydomek, przezwisko nadane Bolesławowi przez tych, do których kraju poszedł wojować, których wodza zwyciężył, których wojsko zniósł do cna. Przydomek ten, Chrobry (Chrobry), Polanie nad Dnieprem, Kijowianie, i wogóle Słowianie wschodni przez Russów o władnięci, nadawali tylko niezwykłym bohaterom, wodzom, których czcili, i których dzielność, waleczność i czyny podziwiali. Chrobry — to znaczy coś jeszcze większego, lepszego, niż dzielny, waleczny. Ten szczerzy podziw, i taka cześć pobitych czy podbitych dla swego zwycięzcy, o jakich świadczy na wieki ten przydomek, to właśnie coś niezwykłego, to nadzwyczajność.

A oto i druga nadzwyczajność nie mniejsza. Zkąd uczeni dziejopisowie dowiadują się o tém, co się w tak dawnych czasach działo, jakie, gdzie i kiedy bywały wypadki, jacy byli ludzie? Najwięcej ztąd, że już zdawien dawna, jak tylko sposób pisania gdzie wymyślono i zaprowadzono, ten i ów z ludzi umiających pisać uczuwał chęć zapisywania i dla własnej pamięci, i dla potomności na przyszłość, różnych ciekawych lub niezwykłych wydarzeń, jakie sam oglądał, albo o jakich zasłyszał. Ale wydarzeń na świecie dzieje się i działo bez liku; nie o wszystkim ciekawym lub niezwykłym i ważnym dochodziły wiadomości do umiających pisać. Mnóstwo wydarzeń szło w niepamięć na wieki. Tylko o niektórych, zazwyczaj ważniejszych lub bardziej nadzwyczajnych, albo też bliższych sobie — ktoś na wieczną pamięć za-

pisywał. O jednym wydarzeniu zapisał jeden, o innym gdzieś indziej ktoś drugi; a później, po wielu latach lub wiekach, inni pisarze zbierali takie porozrzucone zapiski, odczytywali, i pojedyncze wypadki spisywali do kupy, tak, że z tego robiła się cała historia czyli dzieje. Dobrze było i korzystano z tego, gdy choć ktoś jeden jakieś wydarzenie opisał. Uczni już o niem później powtarzali w swych opisach, jeśli to było coś ważnego.

Ale jeśli ktoś jeden o czém był zapisał, to można sobie tak pomyśleć, lub powiedzieć: a może on niedobrze o tém słyszał, może się pomylił, albo i całkiem nieprawdę napisał? Wszystko to możliwe. Wszak nieraz i w sądzie świadczenie o czémś jednego tylko świadka uważają za niedostateczny dowód. Otóż prawdziwi dziejopisowie nie wierzą na ślepo każdemu słowu, jakie ten lub ów zapisywacz dawnych wypadków był nakreślił. Za rzeczy pewne uważają i podają tylko takie wiadomości, takie opisują wypadki, o których prawdziwości przekonali się ze wzmianek, napomnień lub przytoczonych okoliczności znalezionych jeszcze gdzieś indziej, w innych zapiskach, lub dokumentach.

Rzadki to był w dawnych wiekach trafunek, żeby o jednym i tém samym wydarzeniu dwóch pisarzy w różnych miejscach na świecie zapisało. Ale dużo już znaczy, jeśli w zapiskach tylko jednego wypadku jest opisany, a gdzie indziej zupełnie znajdują się choć dwa, trzy słowa o tém samym, albo z tém zgodne, potwierdzające naprzykład, że to a to się stało, lub że w tych a tych czasach żyli naprawdę tacy ludzie.

Sporo też dawnych pojedynczych zapisek bywa potwierdzonych, udowodnionych nie przez świadectwa innych dawnych pisarzy, ale przez odnalezienie śladów opisanych wypadków, przez wykryte groby, szczątki budowli przedwiecznych, w natrafionych w ziemi skarbach, pieniądzech, broni starożytnej i narzędziach.

Przy dokładnem opisywaniu dawnych wydarzeń trzeba nieraz na najdrobniejsze rzeczy zważać, zestawiać je i bacznie dochodzić, co jest pewne, a co wątpliwe, żeby błędu lub fałszu uniknąć, i

rzecz prawdziwie przedstawić. Te zaś wydarzenia, do których opisanie zbliżamy się teraz, tém jeszcze mocno się wyróżniają, przez to są nadzwyczajne, że, choć tak dawne, to jednak opis ich podał nie jeden pisarz, i nawet nie dwaj, ale aż trzech naraz pisarzy, którzy zdala od siebie mieszkali, nie jeden o drugim nie wiedzieli, i z których każdy z kąd inąd wiadomości czerpał, a jednak są w swych opisach zgodni i wszyscy nawzajem się potwierdzają. Różnice zaś, jakie są w tych trzech opisach pierwotnych, nietylko nie szkodę, lecz pożytek przynoszą, bo wiadomość o wypadkach uzupełniają, dają możność opisać je tém dokładniej, a są jeszcze lepszym dowodem prawdziwości wydarzeń. Świadczą bowiem o tém, że ci trzej dawni pisarze nie powtarzali opowiadania jednej osoby, lecz każdy całkiem z kąd inąd, i nawet od przeciwniej strony miał o nich wiadomość. Skoro mimo to jeden drugiemu nie przeczy, wszyscy są zgodni, to najlepszy dowód, że wszyscy opisywali prawdę tak, jak się działo.

Jednym z tych trzech pisarzy był któryś z ówczesnych mnichów (czyli zakonników) bułgarsko-greckich w Kijowie, a słowa jego znajdują się przepisane w starym latopisie Nestora.

Drugim był też podówczas żyjący i piszący pamiętnik tego, co się działo, biskup niemiecki Dytmar w Merseburgu nad Solawą, nieprzyjaciel króla Bolesława z powodu jego zwycięstw nad Niemcami i z obawy, żeby i biskupstwa merseburskiego od rzeki Modły do Solawy nie odebrał Niemcom. Choć wojna Bolesława z Russami odbywała się aż o mil dwieście od Merseburga, Dytmar jednak miał o niej wiadomości najlepsze od naocznych świadków, rycerzy niemieckich, gdy z tej wojny wrócili.

Trzeci pisarz był w Polsce, Gallus. Pisał on w dobre kilkadziesiąt lat później dzieje Polski od Piasta aż do swoich czasów. Podał więc i o tej wojnie niektóre z opowiadań wojaków bolesławowskich, trwających wtedy jeszcze żywo w pamięci narodu naszego, a témbardziej, księży i zakonników, bo ci mieskali przy kościołach i po klasztorach swoje zapiski o tém, co kiedy się stało.

Niech więc tu ozwą się słowa pierwszego z tych pisarzy w przekładzie na polską mowę, i niech rozpoczną dalsze opowiadanie, jak to było nie u nas, ale tam na wschodzie, w Kijowie i daleko na północy od niego, w Nowogrodzie, po tych czasach, na których zatrzymaliśmy się w Gazecie 1320. (Warto przytęm wziąć przed oczy mapki, które są w Gazecie 1307 i 1312.)

### Świętopełk i Jarosław,—a Bolesław.

„Jarosław (jeden z młodszych synów księcia Russów, Włodzimierza) płacił od Nowogrodu ojcu swemu, siedzącemu w Kijowie, po 2 tysiące grzywien dani rocznej. Oprócz tego tysiąc grzywien rozdawał dworzanom w Nowogrodzie (głównie Russom i Waregom). Tyle płacili też przed nim wszyscy posadnicy nowogrodzcy. Ale Jarosław przestał płacić. Więc w roku 1014 Włodzimierz w Kijowie rzekł: —Trzebiecie drogę, budujcie mosty! —To znaczy, że kazał naprawiać zarosłe do Nowogrodu drogi, bo zamierzał wysłać przeciwko synowi swemu Jarosławowi wojsko, aby go do posłuszeństwa sobie i do płacenia daniny zmusić... „Ale tymczasem sam się rozchorował.“

W roku też następnym, 1015, Włodzimierz umarł w swój siedzibie na wsi,

w Berestowie. Nie był on jeszcze stary, nie mógł mieć więcej nad lat 55.\*) Śmierć jego jakiś czas tajono, ponieważ w Kijowie był wtedy Świętopełk, ów najstarszy, żonaty z naszą Bolesławówną, syn Włodzimierza, a raczej jego pasierb, syn zaś starszego, zabitego jego brata, poprzedniego księcia w Kijowie. Z tego tajemnia śmierci widać, że dwozanie i wojacy Włodzimierza, to jest otaczający go Russowie i Waregowie, nie chcieli, żeby po nim Świętopełk panował; zamierzali do Kijowa sprowadzić któregośkolwiek z jego braci przyrodnich, a raczej stryjecznych (bo nietylko z innego ojca, ale i z innych matek). Tymczasem Świętopełk, jako nietylko najstarszy z braci, ale jako syn prawdziwy dawniejszego dziedzicznego księcia kijowskiego, którego Włodzimierz był zabił, uważał, że nikt inny, tylko on ma prawo po Włodzimierzu panować. Więc jak tylko o śmierci Włodzimierza nareszcie się dowiedział, zaczął rządzić. Czując zaś niebezpieczeństwo sobie grożące, postanowił pójść za zwyczajem Waregów, a za przykładem ojczyma-stryja. Jeden z jego braci stryjecznych, potem drugi i trzeci zostali napadnięci i pozabijani. Wieść zaś głosiła i tak zapisano, że zabójców na nich nasał Świętopełk.

Zanim wiadomość o tych zmianach kijowskich doszła do Nowogrodu, tam jeszcze dżiksze rzeczy się działy. Waregowie Jarosława takich dopuszczali się gwałtów, tak mieszkańcom miasta dopieklili, że ci, zniecierpliwieni, raptem powstali i rzeź między nimi sprawili. Jarosław bojąc się, że i jego mogą zabić, wyniósł się z miasta, zamieszkał w okolicy na wsi, i tam grzecznie zaprosił do siebie wszystkich możniejszych Nowogrodzian niby na naradę i w gościnę. Gdy zaś około tysiąca ich się zgromadziło, nagle wszystkich podstępnie zabił.

Aż tu, w nocy przyjeżdża z Kijowa wysłaniec od siostry Jarosława, Przedstawy, z doniesieniem, że ojciec umarł, i z ostrzeżeniem, żeby się strzegł, bo Świętopełk rozesłał na braci zabójców. Jarosław był kulawy, a do boju ani ochoty, ani odwagi sam nie miał. Ale był bardzo przebiegły, a pieniędzy dciwy, i starał się jak najwięcej ich zbierać, a jak najmniej wydawać. Zebrał też skarb wielki. Teraz, bojąc się Świętopełka, postanowił czém tylko można, więc i pieniędzmi się ratować. Posłał za morze po nowych Waregów, a Nowogrodzianom tak rzecz przedstawił, że lepiej, aby Nowogród nad Kijowem, aniżeli Kijów nad Nowogrodem panował i daninę corok zdierał. To kupcom Nowogrodu trafiło do przekonania: puscili w niepamięć, co zaszło, i obiecali mu pomagać w wyprawie wojennej na Kijów.

Działo się to wszystko w roku wielkiej wojny Niemiec z Polską, kiedy Bolesław z konnicą przeprawy przez rzekę Odre strzegł, a syn jego Mieszko miasta Krośna bronił, aż nieprzyjaciel na bartniczej polanie wytopiony został. Nie miał więc czasu król polski spraw zięcia śledzić, ani nawet być ich ciekawym. Wypadki zagraniczne na wschodzie działy się w owym czasie bez jego wiedzy.

W roku następnym, 1016, ruszyła wyprawa z Nowogrodu do Kijowa. Świętopełk zastąpił jej drogę nad rzeką Dnieprem, ale mimo to wojska Jarosława przeprawiły się przez nią. Świętopełk zo-

stał pobity i nie mógł nawet do Kijowa wrócić; uciekł aż do Polski, błagać teścia swego o ratunek. Jarosław zaś opanował Kijów.\*) Zastawszy tam pewnie żonę Świętopełka, wziął ją jako zakładnicę, i na zimę do Nowogrodu wrócił. Wysłał też gońców aż do Niemiec, do cesarza, i od niego wysłańców przyjmował, zmawiając się o spólne z dwóch przeciwnych stron najście na Polskę. Boć nie było wątpliwości, że jeśli nie za zięciem, to za córką swą Bolesław się ujmie i wojnę Jarosławowi wyda. Ale wiadomo uważnym czytelnikom, że rychłó tą sprawą Bolesław zająć się nie mógł, bo gdzieindziej, na zachodzie, wielka sprawa z Niemcami nie była jeszcze załatwiona. Wojnę Polacy wygrali, Niemców zbili i wypędzili, ale pokój nie był jeszcze zawarty i zarówno cesarz, jak i Bolesław do dalszej wojny się sposobili.

Nadszedł rok 1017. Królowa Emnilda po 30-letniem zgodnem pożyciu z małżonkiem umarła. Strapiiony tém król nasz wiedział o grożącym niebezpieczeństwie dwóch albo i więcej wojen, od wschodu i od zachodu naraz. Wołał więc choć z jednej strony spokój krajowi zapewnić, aby swych sił nie rozrywać i z jednym nieprzyjacielem wpierw ostatecznie się rozprawić. Trzeba było z Niemcami raz skończyć i albo pokój na warunkach korzystnych dla Polski zawrzeć, albo jeszcze raz wojnę stoczyć. Przedewszystkiem więc należało starać się o zabezpieczenie spokoju na granicach wschodnich, od strony Rusi. Chociaż nikt nie napisał wprost, czy Bolesław o to się troszczył, i jakie przedsiębrał starania, jednak z różnych krótkich, mimochodem tu i ówdzie rozrzuconych przez Dytmara i Nestora wzmianek, po bacznem ich rozważeniu i zestawieniu ze wszystkimi ówczesnymi okolicznościami, dają się dostrzedz i odtworzyć takie oto starania tych dzieje.

Z pomocą Świętopełkowi Bolesław się nie spieszył. Być może, iż doszły go wieści o zabójstwach braci jego stryjecznych i był oburzony na zięcia. Stokroć więcej mu chodziło o córkę, poraz drugi już znajdującą się w niewoli. Ale gdyby się jej losami ostro był zajął, musiałby z innej strony popożgować Niemcom; a przecie odparcie Niemców i niewpuszczenie na polsko-łużycki brzeg rzeki Łaby—było jego troską najważniejszą. Umyślił więc nie przyczyniać się do zagniania sprawy z Jarosławem, lecz nawiązać jeszcze nowe pokrewieństwo czy powinowactwo, które by mu ułatwiało stosunki ze stryjecznymi braćmi zięcia tak, jak małżeństwo jego córki miało ułatwiać stosunki ze zmarłym Włodzimierzem. Posłał tedy do Jarosława wezwanie z groźbą wojny, ale dające zarazem nietrudne do spełnienia warunki, aby tej wojny uniknąć. Oto niezawodnie żądał: przedewszystkiem niezwłocznego uwolnienia córki; powtóre—wydania jakiejś części państwa Russów Świętopełkowi; potrzecie — nieprzekraczania granic; poczwarte — zapewnienia, że warunki te będą dotrzymywane, a takim zapewnieniem miało być oddanie mu, jako wdowcowi, w małżeństwo jednej z sióstr Jarosława, podobno owęj wzmiankowanej już Przedstawy, która widocznie dużej jak na kobietę miała wśród rodziny swęj i w Kijowie znaczenie.

\*) Do tego miejsca wypadki na wschodzie podajemy opierając się na latopisie Nestora. Odtąd zaś przychodzi nam w pomoc i pamiętnik Niemca Dytmara (VIII, 16 [IX, 31—33]) ze swemi wiadomościami, przytęm rzeczy ciemne i nieomówione stają się w znacznej części jasnymi.

\*) Ojciec Włodzimierza, Świętosław, urodził się był, jak podaje Nestor, roku 942, a miał i starszego syna, Jaropelka. Włodzimierz zatem chyba nie urodził się przed rokiem 960.

Ale Jarosław był już w znowie i przymierzu z Niemcami przeciwko Polsce, sam wielkich korzyści z tego związku chciwy i wyczekujący. A Niemcy też z pewnością od zawierania ugody z Bolesławem jak najusilniej go powstrzymywali. Im przecie szło o to, żeby w wojnie, którą niebawem spodziewali się rozpocząć, Bolesław zajęty był obroną kraju nietylko od nich, lecz i od Russów. Ufając więc i przymierzu z Niemcami, i radom niemieckim, Jarosław odmówił spełnienia podanych sobie przez Bolesława warunków. Odmówił mu przeto i siostry swojej.

(Co było dalej — podamy za tydzień.)

K. Prószyński.

## NOWINY.

**Kary za nauczanie.** Grodzieńskie wiadomości gubernjalne ogłosiły o skazaniu na kary mieszkańców pięciu wsi w powiecie Sokólskim tej gubernji za nauczanie dzieci w szkółkach polskich niepozwolony przez rząd. Kary wyznaczył gubernator grodzieński z polecenia jenerał-gubernatora w Wilnie, wydanego w dniu 30 marca tego roku. (Za podstawę do tego wzięto „Przepisy tymczasowe” z dnia 3 kwietnia 1892 roku o karach za nauczanie potajemne, oraz 9-tą część dodatku do przepisu 1214 w części I, tomu XIV zbioru). Za nauczanie w Osmołowszczyźnie Wincenty Mickiewicz, włościanin, skazany został na 5 dni aresztu, a 22 osoby spośród rodziców dzieci, które się uczyły, na karę pieniężną po pół rubla, lub na dzień aresztu. W Jagłowie Wincenty Tofilski, mieszczanin, na 3 doby aresztu, a 13 osób na taką karę, jak tamci w Osmołowszczyźnie. W Szuszałowie Franciszek Raducha, włościanin, za uczenie 37 dzieci na 7 dni aresztu, ksiądz Kuczyński, wikary z Dąbrowy, na 50 rubli, a 30 osób z rodziców na karę po 75 kopiejek, lub dobę aresztu. W Łozowie za nauczanie Wincenty Fiedorczyk, włościanin, na 5 dni aresztu, ksiądz Górski, proboszcz z Dąbrowy, na 100 rubli kary, a 14 osób na karę po 90 kop., lub na półtoręj doby aresztu. W Chmielówce Bolesław Gudzewicz, włościanin, na 5 dni zamknięcia, a 11 osób z rodziców na karę po pół rubla lub dzień zamknięcia. Nauczanie w tych wsiach jednak odbywało się nie potajemnie, lecz jawnie, ponieważ ludność po ogłoszeniu Manifestu Najwyższego z dnia 30 października, roku ubiegłego sądziła, iż na mocy ogłoszonej wolności obywatelskiej i wolności słowa ma już prawo do rozporządzania się nauką dzieci.

**Sołtys wrogiem gromady.** W okolicy Czyżewa, w Łomżyńskim, są trzy wsie, które mają jednego wspólnego sołtysa. Rozumniejsi ich gospodarze postanowili dojść do tego, żeby wszystkie grunta gospodarskie, podzielone obecnie na małe kawalki, i porozuczane, pozbierać do kupy i pozalać w duże, jednolite osady. Do takiego niezbędnego polepszenia gospodarstw przychylają się już tutaj wszyscy gospodarze, a tylko jeden, i to sołtys, stoi na zawadzie. — Oddajcie mi wszystkie sady i łąki, to zgodzę się na rozczelenie, — powiada. I nietylko sam się upiera, ale i innych jeszcze podburza, żeby na nowy podział gruntów nie przystawali. I dziwna rzecz, że są jeszcze ludzie, co go słuchają, choć wszystkim znane są jego szacherki choćby przy ściąganiu podatków. Od jednego gospodarza wziął w roku zeszłym o 10 rubli za dużo

podatków; składka ogniowa od czterech już lat została znizona, a sołtys mimo to ściągał ją dotąd od nas w dawnym rozmiarze, co się dopiero teraz pokazało. Już na wiecu przedwyborczym w gminie, gdy ktoś go polecał na pełnomocnika wyborczego do powiatu, że to jest człek zamożny i od 20 lat sołtysuje, już wtedy odczuli wszyscy, że na takiego pełnomocnika on niezdatny, bo nie dba nawet o polepszenie bytu własnej gromady. I sołtysem być nie powinien. A jeśli dalej będzie się upierał przy gospodarowaniu na drobnych działkach, to my sami bez niego rozejdziemy się na osady, a jego zostawimy samego na starych zagonkach. Chyba będzie wtedy balonem do nich dojeżdżał. J. S.

**W Goszczanowie, dużej wsi parafjalnej w Kaliskim, gospodarze rolnicy utworzyli w tym roku spółkę sklepową.** Założyli sklep w końcu lutego i na początku marca; po dwóch miesiącach okazało się, że czystego zysku mamy dziewięćdziesiąt rubli, choć we wsi są, prócz naszego, jeszcze cztery sklepy. Mieszkanie na sklep wynajęliśmy za 90 rubli rocznie. Składa się ono z 4 izb; w jednej jest sklep, w drugiej mieszka sklepowy, trzecia będzie dla nas na czytelnię i zbieranie się, w czwartej jest kuchnia. Sklepowemu mamy płacić 12 rubli latem, a 15 rubli zimą na miesiąc, i nadto dziesiąty grosz od zysków. Zarząd obrany przez nas będzie się zajmował wszystkiem darmo. Spólnicy zobowiązali się dawać też darmo furmanki, gdy potrzeba będzie przywieźć towar do sklepu. Ale gdy potem trzeba było jechać po towar, to pokazało się, że jeden kobyłę ma żrebną, drugi ózrebioną, innemu koń okulał, tamten znów nie ma czasu i t. d. Musieliśmy uchwalić, że kto nie pojedzie, gdy na niego wypadnie, zapłaci karę. Spółką rządzą wybrani przez nas: Józef Rudnicki jako przewodniczący czyli starszy, Michał Wypyszyński — skarbnik, Stanisław Strójwas — pisarz, i dodani im do pomocy: Józef Ignaczak i Józef Szewczyk. Do kupowania towarów obraliśmy Wypyszyńskiego Wawrzyńca i Kordylasa z Poniatowa.

Urodzaje w tym roku będą w naszej okolicy na dobrych ziemiach ogromne, ale na płaskach zapowiadają się złe.

S. S.

† W sobotę 2 czerwca zakończył życie ksiądz Władysław Seroczyński, proboszcz parafji Sw. Barbary w Warszawie na Koszykach, kapłan bardzo zacny, w ciągu długich lat nauczyciel i ukochany spowiednik młodzieży szkolnej. Jego staraniem na dawnym Świętokrzyskim ementarzu grzebalnym w Warszawie wybudowano obok małego kościołka Sw. Barbary wielki i wspaniały wewnątrz kościół pod wezwaniem Sw. Piotra i Pawła. Ks. Seroczyński wyróżniał się dobroliwością dla ludzi i miłosierdziem wielkiem. Staraniem też jego powstało na przedmieściu w jego parafji przytulisko czyli ochrona dla dzieci ubogich, którym dużo też pracy poświęcał. Przeżył prawie całe lat 64. Miejscem jego urodzenia był Kalisz.

**Zbójcy na ulicach Warszawy** wciąż broją. Jeden z najstarszych i głównych inżynierów miasta Warszawy, Alfons Grotowski, człowiek lat 74, zasłużony i uczciwy, został we czwartek 31 maja zrana napadnięty na rogu ulic Jerozolimskiej i Żelaznej przez dwóch młodzików, którzy strzelili do niego cztery razy: w głowę, usta, bok i rękę. Zbrodniarze um-

knęli, a Grotowski leży w szpitalu, w wielkiem niebezpieczeństwie życia. Przyczyną zbrodni było zapewne szalone ogłupienie strajkowców. Urządzili oni niedawno bezrobocie robotników miejskich pracujących w przedsiębiorstwach magistratu miasta Warszawy. Grotowski po niczyjej stronie nie stał, ale chciał uczciwie, z przekonania, pośredniczyć w pogodzeniu magistratu z robotnikami, aby przyspieszyć roboty zatrzymane, a niecierpiące zwłoki. I za to taka zbrodnica zemsta.

Druga zbrodnia podobna wydarzyła się w sobotę 2 czerwca o godzinie 5 pod wieczór w samym prawie środku Warszawy, na rogu ulicy Wareckiej i placu, a przyczyną tu już było nie ogłupienie szalone, ale proste łotrowstwo. Adam Jasiak niósł tysiąc rubli z biura przedsiębiorstwa przy ulicy Wareckiej, w którym służył, na wypłatę tygodniową pracującym przy budowie domu niedaleko ztamtąd, na Brackiej. Wtém pięciu młodzików napadło na niego i zażądało pieniędzy, a że dać ich nie chciał, strzeliło do niego dwukrotnie. Jasiak upadł raniony, a zbójce obszukali kieszenie, pieniądze zabrali i rozeszli się nie zatrzymywani przez nikogo, choć to się działo w ludnym miejscu.

Do jednej wsi w powiecie puławskim, gub. lubelskiej, (jakoby do Piotrowic, ale takiej tam niema, jest tylko Piotrowin) przyszło czterech strażników ziemskich, aby jednego z włościan uwięzić. Nie zastawszy go w domu, idą do sąsiada. Tam zobaczywszy kogoś w ogrodzie, nie pytając o nic rzucili się na niego. A był to zupełnie kto inny, nie poszukiwany, jeno Szczepan Piątek. Ten przestraszywszy się i nie rozumiejąc, co to za napad, zaczął się bronić. A strażnicy zaczęli do niego strzelać i niewinnego człowieka zabili.

**Złapani zbójcy.** W stodole sołtysa w Karolinowie, w gminie Dolecku, powiecie skierniewickim gub. warszawskiej, zatrzymano trzech ludzi z rewolwerami: 26-letniego Stanisława Zasięga z Zabrodzia w powiecie olkuskim, 19-letniego Adama Malinowskiego z gminy Zegza w pow. pultuskim, i 17-letniego Stanisława Głazowskiego z gm. Wierzbnika w pow. ilskim. Jeden z rewolwerów stał się powodem domysłu, że są to zbójce, którzy niedawno napadli na drodze na jadącego szosą przez las skierniewicki Okęckiego i obrabowali go, a siostrzenicę jego Marję Puławską zabili, o czém było w Gazecie 1320. Pokazano więc ich p. Okęckiemu, a ten zbójców poznał, że są ci sami. Dopuszczali się też oni innych napadów i rabunków.

**Powrót żołnierzy.** Z parafji Orszymowskiej w powiecie plockim było na wojnie 70 żołnierzy zapasowych. Dwóch z pośród nich zostało zabitych pod Sandepu, a jeden umarł w domu (?). Ośmiu było ranionych, ale niezbyt ciężko; kaleką, z łaski Boga, nie został żaden. Czterech było w niewoli w Japońji. Ci odbywali służbę w artylerji. Trzech otrzymało krzyże Sw. Jerzego. Listów pisali do proboszcza swego 21, do nich zaś posłano ztąd 13 posyłek z rzeczami. Trzydziestu siedmiu powróciło do kraju pojedynczo, jeszcze przed ukończeniem wojny, reszta zaś, trzydziestu, powróciła temi czasami razem, dnia 3 maja. Uroczysty był ich powrót i przyjęcie. Wszyscy byli u spowiedzi i przystąpili w dniu Sw. Stanisława do komuńji św. W czasie kazania była odpowiednia do nich przemowa, w której zaznaczono, że para-

fja wita ich jakby powracających z za-  
święta, jakby owego Piotrowina powsta-  
jącego z grobu. Od kościoła aż do ple-  
bańji stali ludzie dwoma rzędami, ramię  
przy ramieniu, tworząc jakby żywy mur  
po obu stronach drogi, którą mieli iść  
powróceni. Na dworze przed plebańją  
młodzieniec Dębiński z Brodów powitał ich  
imieniem młodzieży z parafji. Odpowiedział  
mu powrócony Jakób Maćkiewicz z Pe-  
rek, dziękując za przyjęcie i modlitwy.  
Potem odbyło się przyjęcie na plebańji.  
Wszyscy obecni ożywieni byli serdeczną  
wzajem dla siebie życzliwością. Maćkie-  
wicz z Perek opisał przygody swe wiersz  
em i przysłał to do Gazety Świą-  
tecznej. *Ksiądz M. Przedpełski.*

**O zatonięciu okrętu w Rydze.** Z miasta  
Rygi nad rzeką Dźwiną, blisko jęj ujścia  
do morza, pisze do nas jeden czytelnik  
Gazety:

W poniedziałek 28 (16) maja miał od-  
płynąć z Rygi do miasta Mitawy nowy  
parostatek osobowy „Wilma”. Był to  
okręt długi, wązki, a wysoki, zbudowany  
tak, żeby mieściło się w nim jak naj-  
więcej ludzi i towarów. Przed wieczo-  
rem statek zapelniał się podróżnymi, ja-  
dącymi przeważnie na letnie mieszkania  
do miejscowości nadmorskich Bolderaa,  
Bilderingshofu, Bullenhofu, Majorenhofu  
i innych; wielu z nich przybyło do Ry-  
gi z dalszych stron kolejami. Podróźni  
zgrupowani byli pod pokładem z powo-  
du deszczu. Na pokład nawalono dużo  
koszów, kufrow i różnych towarów. O go-  
dzinie 7-jej dano znak do odjazdu, ale  
zaledwo statek spuszczone z liny, gdy  
w tejże chwili zakolysał się mocno, prze-  
chylił się nagle na jeden bok, obrócił się  
do góry dnem i zaczął tonąć. Widok ten  
z brzegu był okropny. Ludzie biegali nie  
wiedząc na razie, jak się brać do ratunku,  
a zamieszanie powiększały ich krzyk,  
trzeszczenie statku i szum wody. A cóż  
to się musiało dzieć we wnętrzu statku,  
gdzie było blisko 150 osób, mężczyzn, ko-  
biet i dzieci. Jedną z kobiet w oczach  
wszystkich stojących na brzegu zdążyła  
tylko wyrzucić przez okienko synka 9-  
letniego i 6-letnią córeczkę, ucałowawszy  
ich poprzednio, a sama wylazszy ledwo  
do połowy przez okienko, poszła z okrę-  
tem na dno; dzieci jęj wydobyto na brzeg.  
Uratowało się jeszcze 5-ciu czy 7 podróż-  
nych, a reszta wszyscy potonęli. Nie-  
szczęściu winni są, jak mówią, właścicie-  
le statku. Zbudowano go źle, a komisja  
inżynjerska nie oglądała go wcale, choć  
już dwa razy chodził był z Rygi do Mi-  
tawy. Tym razem kapitan czyli naczelnik  
„Wilmy“ nie chciał jechać, tłumacząc  
się, że na statek nawalono za dużo rzeczy;  
ale wtedy przybył na brzeg właściciel  
statku, wylał kapitana i kazał zamiast  
niego jechać innemu. Przedsiębiorca ten  
ma 28 parostatków, ale mało dba o bez-  
pieczeństwo podróżnych. W przeszłym ro-  
ku przewrócił się tak samo na rzece zwa-  
nej Aa jego również statek „Omnibus”. Po  
zatonięciu „Wilmy“ przez całą noc stały  
na brzegu tłumy ludzi patząc, jak pod-  
noszono statek z dna i wydobywano z nie-  
go trupy. Całą też noc stała obok na po-  
gotowiu piechota, a o 9-tęj rano przyby-  
li do pomocy kozacy i sprowadzono dwie  
armaty. Ale starcia żadnego nie było.

*Józef S.*

**Sąd wojenny w Warszawie** sądził 29-go  
maja Jana Marczewskiego, czeladnika  
szewskiego, lat 24-ech, oskarżonego o to,  
że w dniu 1 maja targnął się był na  
życie komisarza czyli naczelnika policji  
jednego z cyrkulów, na jakie miasto jest

podzielone. Sąd wojenny nie uznał o-  
koliczności łagodzących, na które obroń-  
ca prawny zwracał uwagę, i skazał Mar-  
czewskiego na śmierć przez powieszenie.

**Ze wsi Kuny pod Hajsynem, na Podolu,**  
piszą do nas:

W niedzielę 27 (14) maja straszna ulewa  
z piorunami, trwająca od godziny 7 do 9  
wieczorem, wyrządziła gospodarzom w na-  
szej okolicy ogromne szkody: łąki zala-  
ła, z pól górzystych splukała kartofle,  
buraki i tym podobne rośliny, a zbo-  
że całkiem położyła. Deszcz trwał całą  
noc i pół dnia następnego. We wsi Kuź-  
mińcach, o dwie mile polskie od Kuny,  
piorun zabił pannę W. G. wraz ze słu-  
żącą, gdy wyszły do szopy doić krowy;  
padło razem i kilkoro bydła, a szopa się  
spaliła. *Czytelnik.*

**Różności z listów.**

**Marnotrawstwo.** Gospodarz W. L. ze wsi Za-  
lesia pod Ostrowią, w Łomżyńskim, kupił so-  
bie włokę ziemi we wsi Wiśniewku w powie-  
cie ostrołęckim, i mieszkając po dawnemu na  
stariej osadzie, uprawia i obsiewa nabyty kawał  
ziemi. Grunt tam bardzo dobry i rodzi pżeśliz-  
nie, ale cóż z tego, kiedy ów gospodarz plonu  
z niego nie sprząta. Z żalem prawdziwym patrzy-  
my na to, jak ten diwak i marnotrawca pozo-  
stawia zboże na zimę niesprzątnięte. W roku  
1904 zmarnował tak naniec niezły owies, a w ro-  
ku zeszłym zostawił na polu na zimę ładną ko-  
niczynę i bardzo ładny groch, choć sprzedają go  
u nas po 10 złotych ówierć, czyli drożej od pże-  
nicy. Ludzi do roboty niebrak, więc niema czem  
innym tego gzesznego marnotrawstwa wytłoma-  
czyć, jak tylko brakiem rozumu. *J. W.*

**Z sąsiada zbrodniarz.** We wsi zwanęj Wielka-  
nec pod Miedhowem, w Krakowskiem, na pole  
Pawła Kurkiewicza, kowala, weszły 7 maja ge-  
si sąsiada Ludwika Dudy. Dzieci kowala po-  
szły zganiać geśi i bić je. Więc Duda zaczął  
krzyczyć, żeby nie były. Aż tu wypadła z kuźni  
kawał kowal z kawałem żelaza w ręku i  
uderza sąsiada w głowę tak silnie, aż mózg  
wytrysnął na wieże. Odwieziono Dudę do szpi-  
tala w Miedhowie, lecz w dwie godziny po wy-  
padku życie zakończył. *A. B.*

**Piorun i obojętność sąsiedzka.** Dnia 18 maja  
piorun uderzył w zabudowania Błażeja Molendy  
we wsi Choleży pod Miedhowem. Nie wyrato-  
wano nic, prócz tylko jednego konia, krowy i  
pościeli. Spalił się dom, stodoła i wszystkie bu-  
dynki, wieprzak, jałówka, zboże, kartofle, słoma.  
Gdy się zapaliło, gospodarza nie było w domu.  
Sąsiad jego, A. F., przyglądał się od początku  
pożarowi, ale nie chciał ratować. A byłby  
przecie choć cokolwiek dobytku wydarł z pożogi.  
Molenda został z żoną i drobnymi dziećmi bez  
dadu i bez kawałka chleba. *A. B.*

**Trzy ruble i koza.** Zabawne zdarzenie  
było w tych dniach w Łodzi. Na rynku  
Bałuckim wieśniak sprzedawał kozę. Ktoś  
ugodził się też o jęj kupno za trzy ruble.  
Wydobywa pomięty papierek trzyrublo-  
wy i podaje go wieśniakowi. Aż tu ko-  
za łap! papierek w pysk jakby liść wcią-  
gnęła i w jednej chwili zjadła. Powstał  
na rynku spór, czyja teraz koza. Po-  
dobno skończyło się... przy kieliszku,  
bo kozę sprzedano komuś trzeciemu, a  
pieniądze za nią przepito. Z tego by się  
widziało, że kupujący i sprzedający kozę  
mieli rozumu ledwo tyle, co ona, albo i  
mniej.

**W Grodnie po raz pierwszy po przerwie  
lat czterdziestu i paru** odbyło się 13-go ma-  
ja przedstawienie teatralne w języku pol-  
skim. Występowali w niem nie aktorzy  
zawodowi, ale ochotnicy z pośród zwy-  
czajnych mieszkańców miasta, którzy się  
z książek ponauczali, co mówić i robić  
kolejno na widowni, aby ludzie mieli na  
co patrzeć i czego słuchać, bawiąc się  
tak, jakby byli świadkami ciekawej his-  
torji nie czytanej, nie słyszanej z czyje-  
goś opowiadania, ale dziejącej się na ja-  
wie. Na przedstawienie to zgromadziło  
się dużo mieszkańców miasta, którzy cie-  
szyli się szczerze, a najbardziej tém, iż

po tylu latach najmiłszą ich mowę oj-  
czystą, tak długo tłumioną i prześlado-  
waną, znowu swobodnie w licznym zgro-  
maczeniu słyszeć mogą.

## Ze smutnej prawdy.

Blagosławieni, którzy cierpią prze-  
śladowanie dla sprawiedliwości, al-  
bowiem ich jest Królestwo Niebie-  
skie. (U Ś. Mateusza w rozdz. 5.)

**Ślub.**

— W korcu maku się dobrali! — szło  
szepciem po całym kościele wrzesińskim,  
gdy piękna, dorodna para kroczyła przed  
oltarz, gdzie ksiądz proboszcz czekał ze  
stulą, by dwie ręce i dusze związać na  
dole i niedole życia. Ona, z grubym zło-  
tym warkoczem włosów, wysmukła jak  
młoda topolka, biała na twarzy i delikat-  
na, jak pieszczona panienka, Hanka Świ-  
tałowska, sierota po obywatelu z Będzi-  
łowa. On, wysoki, silny, dziarski brunet,  
Jan Balcer, czeladnik kowalski.

Ukłękli.

Jan rzucił jeszcze raz wzrokiem w stro-  
nę drzwi zakrystji, przy których stała  
młoda dziewczyna o pospolitych rysach  
twarzy, świeża, tęga, młoda i dlatego przy-  
stojna, ale o chytrym i szyderskim wyra-  
zie twarzy. Przy niej zaś stał wystrojony,  
wymuskany mężczyzna lat 35, do którego  
dziewczyna zwracała się ciągle z uśmie-  
chem, wyszczerzając szerokie, białe i  
zdrowe zęby.

Gniew rozpalil się w oczach Jana. I  
z niechęcią prawie spójrział na Hanke. Su-  
cho i głośno rozległa się jego przysięga,  
i brzmiała groźnie, jak gdyby komuś rzu-  
cił wyzwanie. A teraz przysięgała Han-  
ka. Gdy za księdzem powtórzyła sakra-  
mentalne słowa, dodała tak cicho, by tyl-  
ko Bóg słyszał:

— Jeszcze przysięgam Ci, Boże, że pa-  
na Stefana na wieki z serca wyrwę. Ty,  
o Wszchemocny Boże, w tém mi допо-  
możesz. Tylko jego nauk nigdy nie za-  
pomnę i dzieciom je wszczępię: niech tak  
ukochają język i wiarę ojców, by w razie  
potrzeby i życie za to dać były gotowe.

Na chwilę ból strasznego uczuła w sercu,  
lzy wytrysnęły z jęj oczu. Ale gdy pod-  
niosła wzrok na Ukrzyżowanego w oltar-  
zu, jak biała gołąbka ofiarna, z twarzy  
jęj biła taka anielskość i czystość, że  
wzrok Janka zmieknął. Spuścił ku ziemi  
zawstydzone oczy.

## Położenie Polaków pod Niemcem-Prusakiem.

Z trzech części, na jakie ojczyzna na-  
sza, Polska, została rozdarta, jedna do-  
stała się pod panowanie rosyjskie, dru-  
ga pod władzę Austrii, a trzecia pod rzą-  
dy pruskie, to jest niemieckie. W tej to,  
trzeciej części Polski, w Wielko-Polsce,  
nazwanęj przez rząd pruski Wielkiem  
Księstwem Poznańskim, jest położone  
nie duże miasto powiatowe Września. Po-  
lacy pod panowaniem pruskim cierpią  
od lat czterdziestu ciężki ucisk, a szcze-  
gólniej prześladowanie swojej mowy i na-  
uki polskiej. Tylko miłość ojczyzny, wia-  
ry i języka pozwala im przetrzymywać  
to wszystko, i powstrzymuje od zupeł-  
nego zniemczenia, do jakiego rząd pruski  
chce ich zmusić. Od wieków Niemcy  
chcieli byli naszęj polskiej ziemi, stara-  
li się wszelkimi sposobami ją nam wydzie-  
rać i wydzielali coraz więcej, byli więc  
wrogami Polaków. Nienawiść ta do dziś  
dnia przetrwała. W swoim mocarstwie,

ale na naszej polskiej ziemi, krepują oni i coraz bardziej zmniejszają prawa Polaków; chcieliby wprost nie dać naszym braciom żyć, radziby przerobić wszystkich na Niemców.

— Niema Polaków w cesarstwie niemieckim na wschodniej granicy! jest tylko garstka dzikiego ludu, który uparcie trzyma się swego pogańskiego polskiego języka! — tak o nas tam urzędnicy niemieccy i ich kamraci śmieją łąć.

Mawiają też oni:

— My, Niemcy, powinniśmy ten dziki lud ucywilizować.

Przyjrzyjmy się, jak oni rozumieją to cywilizowanie i cywilizację.

Po pierwsze, chcą wydrzeć ziemię całą z rąk polskich, rozproszyc Polaków z jednego miejsca, gdzie trzymają się w kupie i jaką-taką siłę stanowią. A później, doprowadziwszy naród do nędzy, starają się tych braci naszych tak zgniebić, tak przesładować, by zmusić do sprzedania swęj ziemi, do wyrzeczenia się wiary, mowy ojców i narodowości swojej, czyli chcą zamienić ich na zdrajców narodu i zaprzędawców swojej ojczyzny.

Na oko „wszyscy poddani w państwie niemieckim są równi wobec prawa“. Tak stoi napisane w pruskiej konstytucji, czyli w prawie państwowem, które wszystkim obywatelom zapewnia wolność. Fałsz to jednak i podstęp, bo naprawdę dzieje się tam inaczej. Największą, zastrzeżoną swobodą jest wolność słowa, czyli wolność mówienia, pisania i drukowania, a nadto wolność zgromadzania się, łączenia się w związki, w stowarzyszenia, i prawo obierania na zgromadzeniach większością głosów tego, kogo się podoba, na posła do sejmu. Taki poseł w sejmie, to jest w zgromadzeniu posłów od wszystkij ludności, przedstawia wobec rządu potrzeby ludu, narodu i kraju, dopomina się o zadosyćuczynienie im, i uchwała nowe prawa. Łatwo każdy zrozumie, że na takiego posła, coby potrzeby narodu polskiego dobrze czuł, rozumiał, i całą siłą o nie się starał, należy wybierać Polaka ciałem i duszą. Niemcy zaś tamtejsi używają wszelkich sposobów, by dobry Polak, kraj swój kochający, nie został wybrany. Narzucają albo Niemca, albo Polaka z nazwiska tylko, a zaprzędanego im duszą. Straszają lud, wmawiają, kuszą pieniędzmi, grożą, że kto nie da swego głosu na tego, kogo oni chcą, będzie później przesładowany. Tych, co braci chwiejących się podtrzymują, co przemawiają do nich, żeby nie dali ucha złym namówcom i nie postąpili jak judasze, wsadzają do więzień jako niby buntowników, buntujących lud.

Między Niemcami jest tylko mniejsza część uczciwych. Ci powstrzymują swoich rodaków, przestrzegają w sejmie, popierają uciskanie Polaków; większa zaś część to są dziś od wielu już lat rozsiałe bestje, które Polakom zgubę i zagładę zaprzysięgły. Najgorsi od jakiegoś dziesiątka lat w Księstwie Poznańskim i w Prusach nad Wisłą są Niemcy zwani hakatami. Dlatego ich tak nazywają, że tworzą oni między sobą związek na to zrobiony, żeby spólnymi siłami Polakom wszędzie szkodzić, a pierwi, co go utworzyli, to byli trzej Niemcy, których nazwiska zaczynają się od liter: H, K, T. Te ich nazwiska są: Haneman, Keneman, Tideman. Teraz są takich Niemców w tym związku tysiące, i coraz więcej przybwa. Szkoły, sądy, urzędy wszystkie

w Poznańskim i w Prusach nadwiślanych nimi obsadzono. Aby zaś wszystkich Niemców na swoją stronę przeciągnąć, straszają ci Hakatowie, mówią i piszą, że Polacy Niemcom są niebezpieczni, że umieją ich polszczyć, na Polaków przerabiać, i że jeśli Niemcy nie zduszą Polaków, to Polacy zduszą Niemców i całą ich ziemię opanują. Czyż to nie podłe, i nie śmieszne! Bo najpierw Polacy prawdziwi nigdy cudzego nie łaknęli i nie wydzierali. A dziś nasi pod niemieckim panowaniem — to, w porównaniu z całym narodem niemieckim, biedna garstka, uboga, niżej stojąca w rzemiosłach i przemyśle, i ledwie dysząca pod okrutną ręką ich władzy. I ci nasi Poznańczycy dla Niemców straszni! Wymyślili to Hakatowie tylko dlatego, by swoje gwałty i okrucieństwa nad tym „straszonym nieprzyjacielem“ choć trochę upiększyć. Hakatyści (czyli owi Hakatowie) założyli nawet bank, na który rząd przeznaczył parę milionów i coraz więcej pieniędzy daje\*). Bank ten nazwali Komisją Kolonizacyjną. Zadaniem Komisji jest z rąk polskich wykupywać ziemię, a lud niemiecki na tę ziemię sprowadzać i osadzać na niej, zakładając coraz nowe wsie, gminy i parafje niemieckie, albo stare po niemiecku przezywając i przerabiając. Posługują się oni całą zgrają wynajętych agentów, lotrzyków, ludzi upodlonych z pośród społeczeństwa naszego, polskiego, co to dla grosza, dla zysku na wszelką podłość gotowi. Ponieważ uczciwi Polacy ziemi tam Niemcom nie sprzedają, więc przychodzi niby Polak, lotr, i ziemię, gdzie jest do sprzedania, jakoby dla siebie kupuje, a potem ją za większe pieniądze komisji oddaje. Gdzie taki lotr dojrzy kogoś na groźdźciwego, albo że komus się źle dzieje, że ma długi, nie może sobie dać rady z gospodarstwem, albo podupadł przez nieurodzaje i klęski, to się tam zjawia i daje wysoką cenę. Nieraz skusi takiego biedaka i do zbrodni zaprzędania Niemcom kawałka ojcowizny namówi.

A do szkoły tam każde dziecko, co skończy lat 7, rodzice są zmuszeni posyłać. Za każdy dzień, w którym dziecko do szkoły nie przyjdzie, rząd ściąga od nich karę pieniężną. Może nie byłoby to przymuszanie gwałtem do nauki takie złe i podłe, i rodzice mieliby pociechę, że ich dzieci nie pozostają nieukami. Ale kiedy tam rządowi niemieckiemu nie o dobrą, prawdziwą naukę chodzi, jeno o niemieczenie dzieci polskich. Zamiast, żeby światło nauki wdierało się do głowy w mowie polskiej, rozumiałej dzieciom, uczą tam tylko w języku niemieckim. A że to dzieciom przecie strasznie trudno, więc rząd pozwala nauczycielowi bić dzieci, i nie po ludzku znęcać się nad nimi. Dziecko w szkole to prawdziwy męczennik. Niejeden nauczyciel przejęty tym niegodziwym duchem poniewiera dzieci polskie wszelkimi sposobami, naprzykład mówi do nich: „ty polskie bydle!“ Niemiec ma siebie za człowieka niby to wyższego, więc myśli, że Polak to człowiek niższy, i że powinien mu ręce lizać za to, że go po niemiecku uczy. Z mowy na-

\*) Nie hakaci, ale sam rząd prusko-niemiecki, i nie parę, lecz setki milionów marek umyślił przeznaczyć; a przy pomocy takich Niemców, jak ci Hakaci, zdołał nakłonić sejm do tego, że zrobiono w nim uchwałę, niby prawną, choć bezwstydnie zbrodniczą, żeby pieniądze na taką kzywudę ludzką ściągnano jako podatek w całym mocarstwie, więc nawet od Polaków. P. G. S.

szęj, z narodowości, z wiary, rzeczy najświętszych dla człowieka, nauczyciel kpi, drwi, śmieje się i miota bluźnierstwa; a które dziecko w obronie tych świętości się odezwie, bywa katowane.

W fabrykach zaś niektórych, na drogach żelaznych i w innych zakładach robotnikom Polakom niewolno mówić po polsku. Za każde odezwanie się ściąga od nich kary, i to takie, że nieraz połowę zarobku wytrąca. Hakatyści z końca świata sprowadzają swoich robotników, żeby tylko Polakom nie dać zarobku.

Piekielna ich złość posuwa się do tego stopnia, że listów adresowanych po polsku, jako niby to w języku niezrozumiałym, nie przyjmują na pocztę.

W zjadliwości swojej i gorliwości, nazwy miast i wsi zmieniają na niemieckie. Mnóstwo ich już tak poprzekręcali, że ludzie połapać się nie mogą, ani spamiętać. Księży za nauczanie ludu, by swojej wiary i swojego polskiego języka się trzymał, ogłaszają jako buntowników i przesładowują. A co który lepszy, gorliwszy, przyczepiają się do niego, do więzienia nawet wsadzają, i z parafji, w której go lud pokochał, usuwają. Ciężko to wszystko znosić. A jednak uczciwy lud polski hardo głowy tam trzyma i nie daje się niemczyć.

Jaki to wszystko miało związek z o wym ślubem Hanki Świtałowskiej z Janem Balcerem, o tém będzie w Gazecie. Bol. Sur.

## GOSPODARSTWO.

### Czy dobrze siejemy.

(Dokończenie.)

Doprawdy, sami sobie dajemy świadectwo, że jesteśmy narodem mało jeszcze oświeconym, kiedy nawet tak oczywiste korzyści, jakie daje siew rzędowy, nie skłoniły nas do zaprowadzenia go powszechnie. Przedewszystkiem na siew rzędowy wychodzi o wiele mniej nasienia; powtórę, czy buza, czy pogoda, siac można. A co najważniejsza, zboże zasiane rzędowo wyrasta daleko lepsze. Ze każdego na pojedynek niestać na tak drogą maszynę, to oczywista; ale przecie można kupić ją do spółki, jak robią w innych krajach. Siewnik 10-cio albo 11-sto rzędowy obsieje dziennie 5 do 8 morgów, a kosztuje stokilkadziesiąt rubli. Czyżby nie mogło kilku, lub nawet kilkunastu gospodarzy małorolnych kupić sobie takiego siewnika? Ale my jeszcze zbyt jesteśmy ciemni, a do tego niezgodni. Niejeden mówi:—Dobra to rzecz maszyna, ale mnie samego niestać na nią, a do spółki kupować nie mam ochoty, bo nie lubię patrzeć, jak kto coś mojego tłucze.— I woli po dawnemu siać, bo jest zazdrośny.

Zdawałoby się, że najubożsi, mający najmniej ziemi, powinni najlepiej ją uprawiać i zasiewać, żeby mieli jak najwięcej zboża na wyżywienie rodziny. Tymczasem dzieje się naodwrot: najubożsi najmniej dbają o swoją rolę. Bogaty ma sprzężaj, dobre nasienie, i nieraz kosztowne maszyny i narzędzia; a ubogi orze w jednego konia za 10 rubli, sieje bylejakim nasieniem i narzeka na biedę. A powinienbyś, biedaku, narzekać na to, żeś ciemny. Nie sam wprawdzie jesteś temu winien, że zamiast za młodu uczyć się, czytać książki i gazety, zbijałeś baki po wsi nietylko w dzień, ale i w nocy, i pozostałeś niby po swojemu mądrą.

Jeżeli ci tatulo pozostawił mały kawałek pola, — musisz bięde klepać. Gdybys naprawdę miał jasno w głowie, a przytém prawdziwie zamiłowanie do gospodarstwa, to nawet na trzech morgach mógłbys mieć dostatek.

Nie będę tu opisywał, jak należy przygotować rolę, jak nawozić i nawóz urabiać, bo o tём często piszą w Gazecie, a i ja może kiedy obszerniej napiszę. Teraz powiem tylko, **co i jak powinni siać matorolnicy, aby mieli dostatek.**

Masz, bracie, na przykład, 3 morgi. Cóż siejesz? A no trochę żyta, trochę owsa, jęczmienia, kartofli, koniczyzny, gryki i t. d. A ja ci powiem, że to nanie. Jeśli masz 3 morgi, to podziel je na 3 równe części i siej tak: Rośliny okopowe, żyto, pastewne. Okopowe w tym płodozmianie, to mogą być tylko **kartofle**, gdyż po ich zebraniu nastąpić ma żyto. Otóż, jeśli nie będziesz żałował pod kartofle nawozu, i postarasz się o dobry ich gatunek, a przytém nie pozwolisz chwastowi urosnąć, — możesz z morga spodziewać się kartofli około 100 korcy. Trzeba się jednak wziąć wcześniej do ich wykopania, bo mniej-więcej około połowy wczesnia musisz wsiać żyto.

Po wykopaniu ziemniaków należy rolę dokładnie zorać i najlepiej **żyto zasadzić**. Czy to się jednak zechce? — No! niech się dices! — Ale jak? — Trzeba zrobić deskę 8 cali szeroką, a 2 łokcie długą, taką, jak to miewają do uklepywania rzadków pod buraki. Do jednej płaskiej strony deski przymocować tizonek, a z drugiej strony w odstępach co cztery cale nawbijać w deskę kołków półtora cala grubych, a 2 cale długich, śpiczasto zastruganych. Sadzenie pójdzie dosyć prędko: jedno będzie deskę obróconą kołkami na dół kłaść na ziemi raz koło razu, przyciskając nogą; drugie będzie wpuszczać w zrobione w ten sposób dołki po 2 albo 3 ziarna; a trzecie będzie zagrabiwać to lekko grabiami. W jakie dwa dni robota będzie skończona. Tak zasadzone żyto należy cienko przytżasnąć gnojem.

W **trzeciém polu** będzie na połowie koniczyzna; a na drugiej połowie albo wyka, albo trocha końskiego zębu i buraków, może być nawet jęczmień. Pamiętać należy, że w to samo miejsce koniczyzna nie powinna wrócić za trzy lata, ale aż za sześć lat.

Zapyta kto, czy taki płodozmian i siew da większe korzyści? Otóż podałem go nie dlatego, by miał być najkorzystniejszy, ale że w sprzyjających warunkach może być korzystny. Zyski mogą być takie: kartofli 100 korcy po 5 złotych to 75 rubli; żyta 16 do 20 korcy po 3 ruble — to 48 do 60 rubli; koniczyzny 6 funtów po 5 r. — to 30 r., a z drugiej połowy będzie z jakie 20 rubli. Wszystko razem da co najmniej 175 rubli. Naprawdę jednak da więcej, pozwoli utrzymać dostatnio dwie krowy i ukarmić parę świń, co zysk powiększy.

Może powie kto, iż żyto po kartoflach się nie uda. Rzeczywiście, w zwykłych warunkach tak bywa. Ale ja tu radzę ten sposób tylko tam, gdzie jest obfitość nawozu, na zgnojonej roli wszystko się uda. Warto by się wziąć nieco z większém zamiłowaniem i znajomością do rolnictwa, a z pewnością nasza ziemia jeszcze nie jedną setkę rodzin wyżywi.

Włościanin R. W.

## Listy do Gazety Świątecznej.

Z miasta Karsu za górami Kaukazkiemi.

Ludzie do was przysyłali listy z blizka i z oddali, pisywali i wieśniacy, księża, szlachta i wojacy, i były już rozmaite nowiny drukiem odbite. I ja, żołnierz z pod Łukowa, opisuję takie słowa:

Kiedy byłem w swojej gminie, w własnej chacie, przy rodzinie, to pisałem, co wiedziałem, o znanym mi okolicy. A gdy zostałem wywieziony w tak dalekie, obce strony, przez morze, góry, i rzeki, ze stron swoich w kraj daleki, niejedno mię zadziwiło, co się w drodze zobaczyło.

Więc wspomnienie myśl mą niesie najprzód ku miastu Odesie. Przystań jest u miasta tego dziwna dla oka ludzkiego: był to rozum doskonały — wymurować takie wały! Przystań w morze wysunięta jest odeń wałem odcięta, a po morzu, po tym wale, pociąg chodzi doskonale.

Gdy się znajdziesz na okręcie, głowa jest jakby w zamęcie, ale przy pięknej pogodzie dobrze jest płynąć po wodzie. I nam też do dnia trzeciego nie było tam nic strasznego. Lecz nie zawsze dobrze bywa; oto wiatr się z deszczem zrywa, okrętem rzuca na strony; każdy leży jak spojony... Wszyscy się rozchorowali... Takiejmy jazdy doznali. Przeleżałem w chorych tłumie, aż stanęliśmy w Batumie.

Tu już człek na ląd wychodzi, oczyma po mieście wodzi, bo każdy był zadziwiony widząc nowe całkiem strony. Powietrze tu ciepłe, parne. Twarze ludzi prawie czarne. Mężczyźni czapek nie znają, tylko głowy okręcają w różne baszłyki, gałgany; odzież też dziwniej odmiany. A kobiety tu na dworze nikt wcale ujrzeć nie może, a jeśli się spotkać zdarzy, to o zasłoniętej twarzy. A winogron co w tём mieście, aż dziw bierze patrzeć, wierzcie! W tём mieście —śmy trzy dni byli, dobrześmy się rozpatrzyli. Aż wsiedliśmy dnia trzeciego do wozu kolejowego i ruszyliśmy w dalszą drogę. Tu już opisać nie mogę, jakie tam góry wysokie, jakie doliny głębokie, jakie przepaście miejscami, że trudno dojrzeć oczami. Te góry do zadziwienia, jak murowane z kamienia. Pociąg wpadał w lochy ciemne, jakby w otchłanie podziemne. Takeśmy trzy dni pedzili, zanim do Karsu przybyli.

Rok już tu z towarzyszymi mieszkam pomiędzy górami, a co oko tu widziało i co ucho me słyszało, to wszystko tu na papierze opisuję prosto, szczerze.

Miasto jest między górami, i otoczone fortami, a nie duże, — ot tak — w rzędzie powiatowych naszych będzie; i domy nie wysmienite, tylko pułapami kryte. Lecz gdzie bogatsze dzielnice i okazałsze ulice, tam domy poprzystrajane i dachy mają blaszane.

Do tureckiej ztąd granicy osiemdziesiąt wiorst się liczy. W lecie tu straszne upały, a w zimie mróz doskonały. A gdy wchodzisz na te góry, zdaje się, że gdzieś w chmury, i przyznasz, że trud nie mały wdrapać się het na wierzchołki; tylko, że tu dla wygody zrobiono kamienne schody. Gdy się człek wdrapie zmęczony, rozejrzy się na wsze strony: widać góry za górami, wiecznie pokryte śniegami, i doliny uprawiane, przez lud różny zamieszkane. Mieszkają tu mołokanie, turki, persy i ormianie, odzież noszą dla wygody takiej jak w Batumie mody. Grunt, gdzie lepszy, uprawiają, ale marny plon zbierają, bo tu grunta są żuźliste i ogromnie kamieniste, trudno orać i

bronować, — nie opłaci się mordować! Grad w lecie często przechodzi i zbożu nie mało szkodzi.

Kończę opis kraju tego, dla obcych niewesołego i proszę pana pisarza poprawić, dać do drukarza, i umieścić to w Gazecie, niech rozejdzie się po świecie, niech czytają czytelnicy o dalekiej okolicy.

Piotr Rybak.

## Nowinki telegraficzne.

Z Petersburga. *Wtorek, 29 maja.* 42 posłów w sejmie, należących do rossyjskiego stronnictwa zowiącego się „konstytucyjno-demokratycznym“, lub też stronnictwem „wolności ludu“, przedstawiło na obrady sejmu ułożony przez siebie sposób dostarczenia większej ilości ziemi włościanom w Rossji. Radzą oni uchwalić takie prawo, żeby dla każdej okolicy państwa ustanowić, jaką największą ilość gruntu może tam posiadać jedna osoba. Co kto będzie miał więcej, to ma być przymusowo wykupione. Tak wywłaszczona ziemia należąca do wielkich majątków, a także grunta rządowe, skarbowe, cesarskie, królewskie, cerkiewne i klasztorne winny należeć do całego państwa i być w rozporządzeniu rządu. Ziemia ta winna być następnie wydzierżawiana za odpowiednią opłatę włościanom bezrolnym lub małorolnym. W tych guberniach lub powiatach, gdzie rząd będzie miał ziemi do wydzierżawienia więcej niż potrzeba dla włościan miejscowych, będzie ona oddawana w dzierżawę włościanom z takich stron, gdzie ziemi jest za mało.

Otóż wszczęły się nad tём w Sejmie gorące rozprawy, które nietylko że zajęły sporo czasu na posiedzeniu wtorkowym, ale trwały i przez dwa następne posiedzenia, *we czwartek 31 maja i w piątek 1 czerwca*, i jeszcze nie zostały ukończone. Zapisało się bowiem do głosu w tój sprawie około stu posłów, z których nie zdołała jeszcze wypowiedzieć swych myśli nawet połowa. Przeciw temu ułożonemu przez stronnictwo „konstytucyjno-demokratyczne“ sposobowi występuje w sejmie wielu posłów. Przemawiali przeciwko niemu i Polacy, jak Skirmunt, poseł z gubernji mińskiej, oraz biskup wileński Rop. i Łotysze, mianowicie włościanin Krejberg z Inflant, i paru posłów rusyjskich z Ukrainy, i kilku Rossjan. Pokazało się nawet, że nie wszyscy posłowie ze stronnictwa konstytucyjno-demokratycznego mają jednakowe poglądy i zapatrywania na tę sprawę. Gdy bowiem jeden z nich, poseł Hercenzstejn z Moskwy, gorąco bronił tego sposobu, dwaj inni — książe Lwow i profesor Petrażycki, Polak, wybrany na posła przez stronnictwo konstytucyjno-demokratyczne w Petersburgu i należący nawet do zarządu tego stronnictwa, wytykali różne wady tego pomysłu i mówili, że uchwalenie takiego prawa przyniosłoby więcej szkody niż pożytku.

W czasie tych obrad przemawiał także i minister rolnictwa, Stiszyński. Wystąpił on również przeciw takiemu sposobowi, a zwłaszcza przeciw przymusowemu wywłaszczaniu gruntów prywatnych. Obliczał, że po wywłaszczeniu wszystkich zbywających gruntów prywatnych, cerkiewnych, klasztornych i dodaniu do nich gruntów skarbowych i cerkiewnych, zdanych pod uprawę, przy podziale tój ziemi między wszystkich włościan, wypadnie nie po całe 2 morgi na każdego.

Przymusowe wywłaszczenie przysporzy włościanom ziemi niewiele, a zysku z tego nie będzie żadnego. Przedewszystkiem za użytkowanie tej ziemi będą musieli płacić do skarbu corok po 150 milionów rubli, które pójdą na wynagrodzenie właścicieli ziemskich za zabrane od nich grunta. Powtóre skutkiem wywłaszczenia znikną większe majątki ziemskie, a przez to włościanie utracą zarobki, jakie tam mieli. A zarobki owe były nie małe; minister oblicza je na 450 milionów rubli rocznie. Wkońcu będzie niezadowolone w tych wsiach, gdzie rząd będzie miał mało wolnej ziemi do rozdania; w wsiach zaś, gdzie jej będzie za dużo, mogą wyniknąć zatargi pomiędzy włościanami miejscowymi a przybyszami z innych stron. Po ministrze rolnictwa Stizyńskim przemawiał podobnie pomocnik ministra od spraw wewnętrznych, Hurko (syn byłego generała-gubernatora warszawskiego). Wywody ich zbijał poseł Hercenztejn, główny obrońca ustawy. Oklaskiwali go najmocniej posłowie włościańscy ze środkowej Rossji, gdzie włościanie gospodarują nie na własnym gruncie, ale na gruncie wydzielanym im co kilka lat na nowo przez gminę. W tych bowiem guberniach cała ziemia włościańska należy do gminy, i gmina, czyli zgromadzenie gminne, rozporządza nią, jak mu się podoba. Skutkiem tego włościanie tamtejsi nie rozumieją, co to jest ziemia własna, i nie odczuwają też tego, jak się można przywiązać do własnej, odziedziczonej po ojcach lub zdobytej ciężką pracą roli. Dlatego chcą oni nie tylko powszechnego wywłaszczenia ziemi, ale nawet nie godzą się na to, aby rząd za wywłaszczone grunta komukolwiek płacił.

— Kolo posłów polskich w sejmie petersburskim z gubernij Królestwa uradziło i uchwaliło trzymać się tego, że w sprawie rolnej w guberniach Królestwa Polskiego była załatwiona nie przez sejm petersburski, ale przez sejm krajowy w Warszawie. Z tego powodu posłowie Polacy postanowili sprzeciwić się, aby ustawa w tej sprawie, jaką uchwali sejm w Petersburgu, miała być rozciągana na Królestwo Polskie. Bo co może być dobre dla włościanina rossyjskiego, to niekoniecznie będzie dobre dla polskiego kmiecia, który żyje i gospodaruje w warunkach innych.

— Przed rozpoczęciem obrad nad sprawą rolną, we wtorek 29 maja, sejm na wniosek 36 posłów uchwalił zażądać od głównego ministra wyjaśnienia w sprawie następującej: Od dwóch tygodni gazeta rządowa „Prawitielstwiennyj wiestnik“ drukuje codziennie liczne telegramy, nadsyłane jakoby do Jego Cesarskiej Mości z rozmaitych stron państwa, ale wszystkie zupełnie jednakowej treści i w tych samych prawie słowach. W telegramach jest prośba do Najjaśniejszego Pana, aby nie pozwolił na dalsze obrady sejmu i posłów sejmowych kazał rozpuścić. Sejm bowiem,—tak tam piszą,—dąży do pochwylenia w swoje ręce najwyższej władzy, aby zaś dogodzić tak zwanym obcoziemcom (narodom nierossyjskim, będącym pod panowaniem Rossji), czyni zamach na jedność i całość państwa rossyjskiego. Szczególniej posłowie z buntowniczego kraju polskiego występują w sejmie z niezmiernie zuchwałymi żądaniem samorządu. Otóż ponieważ takie odezwy obrażają cały sejm, a oprócz tego podżegają jedną część ludności przeciw drugiej, a więc są przeciwne prawu, przeto sejm zapytuje głównego ministra, czy są one drukowa-

ne w gazecie rządowej za wiedzą i zgodą ministrów, i na co to się robi?

— *We czwartek, 31 maja*, pewna liczba posłów wystąpiła z żądaniem, aby sejm uchwalił prawo znoszące natychmiast karę śmierci. Wniosek ten poparło gorąco wielu posłów, a w tej liczbie Nowodworski z Warszawy i Lednicki z gubernji mińskiej, którzy przeciwko karze śmierci wypowiedzieli dłuższe mowy. Sejm do szczegółowego opracowania tej sprawy wyznaczył radę (komisję) złożoną z 15 posłów i polecił jej, aby w ciągu 5 dni pracę ukończyła.

— Umarł nagle (w mieszkaniu swoim) poseł z gubernji sibińskiej włościanin Andrejanow. Myśla, że tak on wziął do serca swój głos, co go dał za ministrami. Bo kiedy 26 maja prawie cały sejm przeciwko ministrom głosował, to 11 tylko głosów było za ministrami, a w tej liczbie i głos Andrejanowa.

**Z Kaukazu.** *Tyflis, d. 4 czerwca.* W mieście gubernjalnem Kutaisie na Kaukazie na tamtejszego gubernatora wojennego, Alichanowa, wykonano zamach. Kiedy generał ten jechał, z dachu jednego domu rzucono 8 buchadeł. Pięć z nich wybuchło i zabiło na miejscu 2 kozaków, którzy jechali konno obok generała. Odłamki buchadła poraniły dość ciężko i samego Alichanowa, uszkodziły bowiem mu płuca i wątrobę. Miał jednak jeszcze tyle siły, że po zrobieniu opatrunku przez lekarza pojechał do Tyflisu.

**Z Austrii.** *Wiedeń, d. 5.* Niedawno mianowany nowy główny minister austriacki, książę Hoenloe, ustąpił już z urzędu. Nie mógł on porozumieć się z Węgrami bez szkody dla Austrii. Węgry żądają, żeby ich kraj pobierał cła czyli podatki od towarów przywożonych z zagranicy do Węgier według uchwał ich własnego sejmu, bez względu na cła przywożone do Austrii, żeby cła było pobierane nawet od towarów z Austrii wiezionych. Dotychczas zaś Austrija i Węgry zarząd celny mają wspólny, cła w obu krajach są jednakowe, i między Austriją a Węgrami od rzeczy wiezionych cła się nie płaci.—Na miejsce Hoenloego cesarz Franciszek-Józef mianował głównym ministrem wyższego urzędnika w Wiedniu, Beka. A ponieważ wraz z Hoenloem ustąpili i inni ministrowie, więc Bek dobrał sobie nowych ministrów, i to nie spośród samych urzędników tylko, jak było za Hoenloego i jego paru poprzedników, ale także spośród przywódców ważniejszych stronnictw w głównym sejmie austriackim. Na ministra od spraw Galicji zaprosił przewodniczącego w Kole czyli zgromadzeniu posłów polskich w Wiedniu, hrabiego Wojciecha Dzieduszyckiego, na ministra od spraw czeskich — posła czeskiego Pacaka, a obronę spraw niemieckich w Austrii powierzył posłowi niemieckiemu Pradem, dla którego utworzono umyślnie nowy urząd ministra od spraw niemieckich. Drugi przywódca Niemców austriackich w sejmie, Derszata, został ministrem kolei żelaznych. Oprócz Dzieduszyckiego wszedł do rządu także drugi Polak, Korytowski, jako minister od spraw pieniężnych, a oprócz Pacaka — drugi też Czech, Forszt, jako minister handlu. Reszta ministrów jest z urzędników niemieckich.

**Z Hiszpanji.** *Madryt, d. 5.* Wielkie były przygotowane uroczystości w stolicy Hiszpanji. Oto we czwartek 31 maja miał odbyć się ślub młodego króla Alfonsa, który od pieluch już tam panuje. Zaręczony był w Anglii, z siostrze-

nicą króla angielskiego, księżniczką Eugenią Batenberską. Matką jej była najukochańsza córka zmarłej królowej Wiktorji, a ojcem księżem niemiecki, urodzony z matki Polki. Narzeczona już od kilku dni przyjechała do Hiszpanji z matką i licznym dworem, uroczystie spotkana, i zamieszkała w osobnym zamku. Na wesele zjechali do Madrytu przedstawiciele wszystkich królów i cesarzew europejskich. Z Rossji był Wielki Książę Włodzimierz Aleksandrowicz, stryj Najjaśniejszego Pana. Ślub odbył się w oznaczonym czasie w kościele. Ale potem uroczystość została zamącona zbrodnictwem czynem anarchistów czyli wyrotowców, pałających nienawiścią do wszelkich rządów i do wszelkiej władzy, ludzi, którym chodzi nie o poprawę bytu w kraju i narodzie, jeno o zrobienie zupełnego bezładu. Kiedy po dokonanym ślubie korowód weselny powracał główną ulicą z kościoła do pałacu królewskiego, z okna jednego domu ktoś rzucił wiązkę kwiatów, mierząc prosto w zlocistą karetkę, którą jechali państwo młodzi. W téjże chwili nastąpił straszny wybuch, w kwiatkach bowiem było ukryte buchadło. Z 8 koni, w które karetka była zaprzężona, dwa padły. Przód karetki został pogięty i koła potrzaskane. Dużo też ludzi dookoła padło bądź zabitych, bądź ranionych. Król z królową jednak ocaleli, tylko byli krwią ludzką obryzani. Przeszli do podanej sobie innej karety i odjechali do pałacu. Liczba ranionych i zabitych dosięga setki. Zmarła od ran żona głównego ministra hiszpańskiego i zginęło parę jeszcze innych osób z otoczenia królewskiego; więcej jednak poszkodowanych było w tłumie, który stojąc po obu stronach ulicy, przyglądał się korowodowi weselnemu. Policja wnet otoczyła dom, z którego rzucono buchadło, i aresztowała tam około 30 ludzi. Sprawca zamachu jednak zdołał nieco wcześniej już uciec.

— W trzy dni po tym wypadku do zajazdu w jednym miasteczku w Hiszpanji wszedł jakiś człowiek. Siedząc tam wypytywał gospodarza, kiedy odchodzi pociąg kolei żelaznej do miasta Barcelony. Właściciel zajazdu zauważył, że ręce jego są poparzone i że z wyglądu jest podobny do anarchisty podejrzanego o zamach, którego gazety madryckie opisały już i umieściły podobiznę. Powziął więc na niego podejrzenie. Gdy następnie gość wyszedł w pole na przechadzkę, spotkał go tam strażnik i zapytał o paszport. Na to zapytany wyjął z kieszeni rewolwer i zastrelił strażnika, a następnie strzelił do siebie i padł trupem.

— Dziwnym trafem akurat rok przedtem, bo również 31 maja, na króla Alfonsa wykonano podobny jak teraz zamach podczas bytności jego w Paryżu. Rzucono tam na niego buchadło, kiedy jechał ulicą z prezydentem Francji. Obaj ocaleli, lecz kilku ludzi przyplaciło ten zamach zdrowiem lub życiem.

Mówią, że sprawcą obu zamachów był anarchista Mateusz Moral, ten sam podobno, który się zastrelił.

**Z Ameryki.** *Meksyk* (miasto główne rzezypospolitej meksykańskiej, leżącej na południu od Stanów Zjednoczonych, w Ameryce zwięzłej), *d. 5.* W kopalniach miedzi koło miasta Kananej, robotnicy meksykańscy urządzili bezrobocie. Sami porzucili robotę i chcieli do tego samego zmusić robotników ze Stanów Zjednoczonych. Ale ci porzucili pracy nie chcieli. Wtedy Meksykanie rzucili się na nich z rewolwerami i strzelbami.

